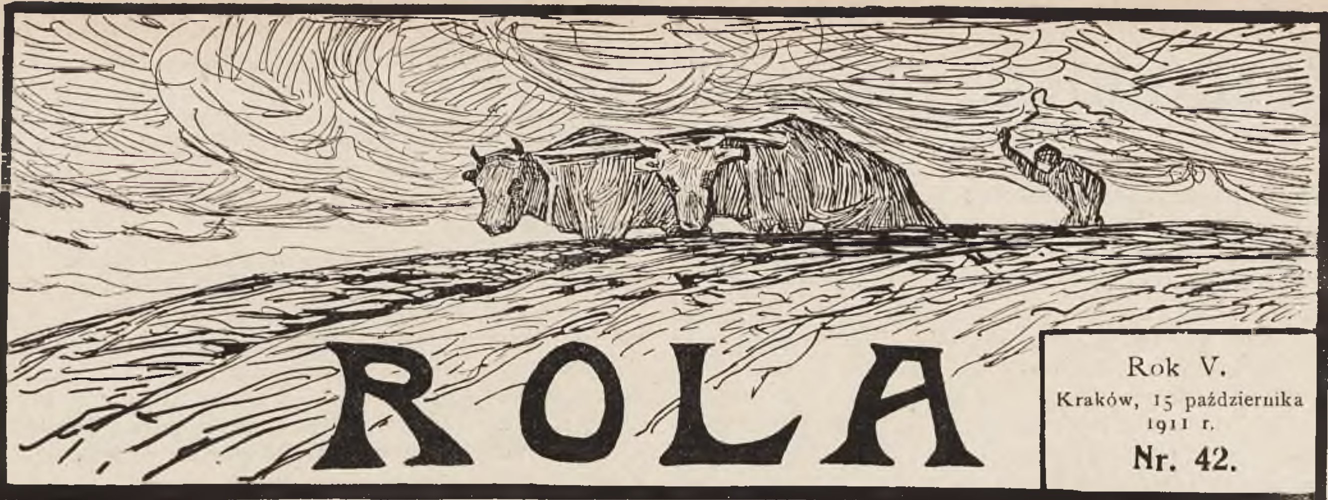


Rok V. Kraków, 15 października 1911 r. Nr. 42.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Szczęście i praca.



Każdy człowiek pragnie szczęścia; ono jest potrzebą jego duszy i celem jego życia. Dla zdobycia szczęścia pracuje rolnik, rzemieślnik i robotnik; uczony i artysta; szczęście jest pożądaniem cnotliwego jak i zbrodniarza.

Pożądanie szczęścia jest udziałem człowieka, zwierzęta jedynie wolne są od tego; nie może ono jednak być zaspokojone żadnemi dobrami ziemskiemi.

Wszystkie dobra ziemskie i uciechy życiowe mają powab tak długo, dopóki widziane są i pożądane zdaleka; z chwilą ich zdobycia tracą swój urok i czar łudzący. Po zdobyciu upragnionych majątków człowiek mieni się być ubogim i pragnie coraz więcej; użycie rozkoszy światowych prędko sprowadza przesyt a osiągnięte zaszczyty kłują ukrytym dotąd cierniem.

Niema takiego kielicha rozkoszy i pożądań tego świata, na którego dnie nie byłoby kropli goryczy: a kto u schyłku swego życia, chcąc zestawić rachunek swego szczęścia, obliczać je będzie według wartości dóbr ziemskich, ten z pewnością spostrzeże znaczny brak tego szczęścia, chociażby mu przez całe życie według mniemania ludzkiego »szczęście było służyło«.

Gonitwa za dobrami ziemskiemi, za majątkiem, jest najwyraźniejszem znamieniem naszych czasów.

Odwieczna walka o byt zamienia się z powodu nieograniczonej konkurencyi w szaloną pogoń »za szczęściem«, dużo ludzi doprowadza do nędzy, niewielu z nich bogaci, a nikomu szczęścia upragnionego nie daje.

Skutkiem tej pogoni coraz więcej wśród ludzi zanika poszanowanie dla pracy. Jeżeli bowiem wszyscy dążą do zbogacenia się, to jednak mało jest takich, którzyby swoje marzenia o zdobyciu majątku opierali na rzetelnej a spokojnej pracy. To droga wiele za powolna, ich zdaniem; trzeba więc wezwać do pomocy spekulacyę, ślepy los szczęścia, wyzysk, a często, niestety, nawet oszustwo, a tak zdobyte pozorne szczęście nie da nigdy prawdziwego zadowolenia.

Pochwała pracy, jej dostojność, zacność i wartość ekonomiczna jest wprawdzie na ustach wszystkich, lecz tylko w tych razach, gdy ją wykonują inni: gdy zaś my sami ją wykonujemy, wtedy jest praca ciężarem, męką, nieomal przekleństwem.

A przecież o ileby mniej wśród ludzi było zawiści, niezgody i nienawiści, gdyby wszyscy posiadali tyle duchowej mocy, aby pracę ukochać i z miłością ją wykonywać; i to nietylko pracę twórczą, będącą wytworem ducha, ale także tę zwykłą pracę codzienną, znojną, dającą pożytek chleba i bytu.

Nie wszystkim dane jest szczęście, aby mogli oddawać się pracy twórczej. Większa część ludzi musi wykonywać bezduszne prace ręczne, tak było zawsze i tak zapewne pozostanie, bo troska o utrzymanie ciała jest tak samo nieodzowną w życiu, jak troska o dobra duchowe. Jakakolwiek jednak jest praca, każda wymaga wysiłku i zaparcia się i dlatego każda zdolna jest uzacnić człowieka i wypełnić mu życie; siła duchowa człowieka okazuje się nie w tem, *co* działa, ale w tem, *jak* działa.

Od początku świata każde pokolenie pracowało według możności nad pomnożeniem szczęścia ogólnego, ale dotąd tego szczęścia zupełnego niema na świecie. I dzisiaj ludzkość targa się w wysiłkach ku zdobyciu szczęścia, może nie wiedząc nawet, że jednym ze szczebli, po których do szczęścia się dochodzi, jest ukochanie pracy.

Z drugiej strony dowiedzioną jest rzeczą, że im kto bardziéj za szczęściem się ugania, tem dalej ono od niego ucieka, tem większe następuje rozczarowanie. Taki człowiek będzie ciągle niezadowolony na swój los a narzekaniom jego nie będzie końca.

Prawdziwe szczęście można sobie więc tylko stworzyć ukochaniem pracy, jaką Bóg w swych niezbadanych wyrokach nam naznaczył. Praca bez tej miłości nie da nam nigdy prawdziwego zadowolenia, a tem samem nie przyniesie prawdziwego szczęścia!

Rozbójnicze gniazdo.

XIV.

Poselstwo Janasza. — Choroba miecznikówny. — Dulęba obejmuje zameczek. — Zmartwienie kasztelanica i Dulęby oświadczyny.

Skoro świt, zbudzony starym nałogiem pan pułkownik Dulęba wstał ze sofy, na której wyspał się wygodnie. Naprzeciw niego kasztelanic twardym jeszcze snem po trudach spoczywał. Nie budząc go, wstał pułkownik, odział się i wyszedł.

W tym kraju, gdzie zawsze groziło niebezpieczeństwo, potrzeba było trzymać ludzi w ryzie. Wyszedłszy za bramę, przekonał się zaraz Dulęba, że niedaremnie był niespokojny; w obozie panował nieład wielki.

Chorąży krzyczał i pohamować nie mógł ludzi, którzy się z sobą zajadali. Co rychlej więc po kładce, którą nad parowem położono, poszedł ku obozowi, zdala już grzmiącym gromiąc głosem i ręką a pięścią grożąc rebelizantom.

— Dam ja wam! ciury jakieś przeklęte! dam ja wam! czekajcie no!

Wtem tentent konia posłyszał za sobą; odwrócił się: Janasz jechał samowtór z hajdukiem Hołobą.

— O! tak do świtu! a toż dokąd? — zapytał.

— Z listami do pana miecznika — odezwał się Janasz, stając.

— Z respektem — odezwał się Dulęba — ale wyglądasz waszmość jak z krzyża zdjęty i wybierasz się w taką drogę? blady, ranny?...

— Tak się zdaje, nic mi nie jest.

— Gadaj zdrów, alež oczy mam! — wołał Dulęba. — Nie miała pani miecznikowa kogo innego do posłania? Niechbyś się choć wylizał.

— Niema już o czem mówić, na koniu siedzę. Ale, mój pułkowniku — ozwał się, pochylając się ku niemu Korczak — na rany Chrystusowe, nie dozwalajcie miecznikowej wyrwać się stąd bez przyzwoitej osłony i bez konwoju, zaklinam was.

— Poco zaklinać — ruszył ramionami Dulęba — to się samo z siebie rozumie. Nie masz się o co troszczyć. Gdybym ja się zaniedbał — szepnął, śmiejąc się pod wąsem — toć jest kasztelanic. Zakochany jak kot w pannie miecznikównie, opętany młokos, choć kasztelanic. Ten ją będzie przeprowadzał choćby do Chin, mości dobrodzieju, i nie da pewnie jej narazić się na żadne niebezpieczeństwo.

Spłonął Janasz jak wiśnia, zdjął czapkę, ścisnął rękę Dulęby i puścił konia kłusem. Stary długo patrzył za nim zadumany, aż w ostatku zawrócił do obozu, w którym na jego przybycie już się nieco było uciszyło.

Tymczasem w zamku miecznikowa do salki wyszła sama i z westchnieniem oświadczyła księdzu Żudrze, że Jadzia z przestrachu i wzruszenia zachorowała nieco i że jej kazała pozostać w łóżku. Na twarzy matki smutek i strapienie były widoczne. Ta jedna noc więcej ją znękała niż wszystkie dni poprzednie; modląc się w kapliczce, płakała.

Gdy się na śniadanie zeszli wszyscy, zdziwił się Dulęba, nie widząc miecznikówny, a kasztelanic się przestraszył i natychmiast zapytał o nią.

— Trochę mi słaba — odpowiedziała matka, spuszczając oczy — ale to przejdzie. Cóż dziwnego? W tych dniach przebyłyśmy więcej, niż słabe nasze siły dźwignąć mogą. Ja sama czuję się niedobrze. Musimy już wracać do domu.

To mówiąc, zwróciła się do Dulęby.

— Mój pułkowniku — rzekła — ja do twej łaski się uciekam. Myślę, że dla obu stron to będzie dogodnem. Chcę panu Gródek zdać. Będziesz miał przyporzysko dla ludzi, a mnie tę ruderę zachowasz do lepszego, da Bóg, czasu. Z zamku i z ziemi nie mieliśmy nic, z miasteczka też. Jeśli chcecie, zajmijcie się tem. Co Bóg da, tem się podzielimy, bośmy nigdy grosza nie widzieli. Co nam dacie, to będzie jak znalezione.

Dulęba aż wstał. Na myśl mu przyszło, że mu i Agafia zostawała przy tem gospodarstwie.

— Ale, miecznikowo dobrodziejko! — zawołał — choć perspektywa dla mnie starego nader uśmiechająca się, nie wiem czy podołam. Muszę się z sumieniem obrachować. Z posterunku, na którym mnie Rzeczpospolita postawiła, dezertować nie mogę.

— Ale to się doskonale godzi: macie stolicę, z niej będziecie robili wycieczki, macie schronienie. Ja już, jak na Zawiszy, na panu polegam.

Kasztelanic chodził jak nieswój od drzwi do okna, od okna do komina i napowrót — wzdychał. Rozmowa mu nie szła, humor stracił. Wyszli po śniadaniu, siadł na stopniach domu i przesiedział tak do południa. Na obiad jeszcze Jadzia się nie pokazała. Spytał o nią Jabłonowski, matka coś niewyraźnego odpowiedziała. Twarze wszystkich były posępne.

Dulęba, który o niczem nie wiedział, wyrwał się po obiedzie z niepótrzebnem westchnieniem.

— Z respektem należnym powiem miecznikowej dobrodziejce, że wyprawienie tego posła dzisiaj rano trochę mnie zdumiło. Nie wiem, jak on dojedzie, i nie ręczyłbym, że się gdzie w drodze nie położy. Aż mi go żal było nieboraka.

Zarumieniła się i zakłopotała miecznikowa.

— Wierz mi, pułkowniku, sam chciał — zawołała — sam się wyrwał, jam była przeciwna.

— Co się stało, to się stało — mówił Dulęba — z respektem, ja żołnierz i zahartowany, alebym go nie puścił.

Na tem się skończyło. W oku miecznikowej zaświeciła łza. Kochała go jak syna, lecz córkę więcej. Wieczorem Jadzia nie wyszła, ani nazajutrz zrana. Kasztelanic na sofie w swem mieszkaniu leżał i wzdychał. Dulęba — z respektem, podżartowywał po cichu. Tegoż dnia usiłował złożyć uszanowanie wdowie Dorszakowej i uczynił o to staranie, meldując się przez Horpynkę. Dziewczę biegało dwa razy, nie mogąc się z panią rozmówić, wreszcie Dulęba, nie opowiadając się, wszedł. Zastał Agafię jeszcze na poły osłupiałą, siedzącą na poduszkach, niby z robotą w ręku. Wzięła ją była snać z nałogu, ale igła, którą szyła bardzo pilnie, nie miała zawleczonej nitki; większą część ściegów robiła w powietrzu. Gdy Dulęba wszedł, obróciła ku niemu oczy, patrzyła długo i zdawała się go nie poznawać.

— Jak się pani ma? przyszedłem się dowiedzieć.

— Jak ja się mam? prawdziwie nie wiem — odpowiedziała Agafia. — Prawda, że jeszcze na grobie nie porosła trawa? A! to pułkownik Dulęba!

— Tak, to ja — odparł pułkownik.

— Pan nie wie? te psy? psy — one go odkopać nie mogły?

— Ale na żaden sposób.

— Pochowali go bez głowy? Proszę cię pułkowniku, głowę u Tatarów można wykupić? Prawda? Zły był to człowiek! ale być pochowanym bez głowy!

— Niech już pani o tem nie myśli! — rzekł Dulęba.

— Radabym, ano nie mogę, stoi mi w oczach. Same trupy... Ta niepoczciwa Tatiana udusiła się. Jak Tatarzy wpadli tam, uszy jej poobcinali. Nie wiem, czy ją kto pochował. Nie godzi się, by psy jadły chrześcijańskie ciała...

— Pochowano wszystkich — przerwał nagle Dulęba — kazałem kurhany posypać i Tatarów nawet pogrześć. Ano, dosyć tego, mówmy o sobie.

Agafia spojrzała na niego i szyć zaczęła pilnie bez nitki.

— Mnie tu pani miecznikowa oddaje Gródek do rządu i opieki.

— A! a to dobrze! Ja do rodziców pojadę.

— Ale rodzice w Kamieńcu...

— W Kamieńcu.

— I Turcy tam — rzekł Dulęba.

— A! prawda! Turcy.

— Nikt was tam odprowadzać nie będzie śmiał.

— Więc cóż? mam i ja się dać pogrzebać? — spytała chłodno.

— Pani moja — odezwał się Dulęba, zbliżając się do niej, chociaż się odsuwała — pani zostaniesz na zamku także pod opieką moją, aż póki się coś nie rozwiąże. Gdyby nie to, że Dorszak pani dojadł za życia i że niema co po nim płakać, nie śmiałbym tego jej powiedzieć, tak świeżo po jego zgonie.

— Piękny zgon, psy go jadły! — mruknęła Agafia — i pochowany bez głowy. Ale cóż chcesz mi powiedzieć?

— Jabym się z panią ożenił, Bóg widzi — rzekł nagle Dulęba.

Agafia zaczęła się śmiać.

— Ja jestem stara kobieta — rzekła, — uboga, chora, daj ty pokój. Nie, nie, nie! dosyć miałam jednego męża! dosyć! dosyć! I on mnie niby kochał, dopóki się nie ożenił, a potem bił mnie cybuchem i zamykał w lochu, choć mu byłam wierną jak pies. Nie, nie chcę.

— Ale to był zły człowiek! — zawołał Dulęba.

— A któż może przed ślubem powiedzieć, jaki będzie po ślubie? O! nie! nie! i potem, broń Boże śmierci, znowu bez głowy! Mówiła jakby na pół obłąkana.

— Nie będę nalegał — kończył Dulęba - lecz zostań pani... zobaczymy... Jeśli powrót do rodziców będzie możliwy... Żal się ukoi, a pani mnie lepiej poznasz...

Agafia szyła bardzo pilnie, zdawała się patrzeć na chustkę i nie widziała nic. Potrząsała głową zamyślona.

— Ja jestem stara kobieta — mruczała. — Nie wiem, kiedy się zestarzałam, bo mi się zdaje, że wczoraj byłam młodą, ale to jakoś przeszło. Obudziłam się obita: sińce, krew i siwizna. Któż się żeni z siwemi włosami?

Potem, jakby coś przypominając sobie, puściła warkocze i pochyliła się ku Dulębie, szepcąc cicho:

— Zapomniałam zdjąć mu pierścionek, pochowali go z nim, jakże ja mogę iść zamąż raz drugi? ja jestem zaręczona z mogiłą! Któż wie? Psy, może psy pogryzły ręce.

Wstrząsnęła się.

— Pani potrzebujesz spocząć.

— Tak, w mogile — dodała. — Wprzódy to trudno! Któż to może spać! Tylko szczęśliwi śpią, a my? nigdy. Mnie sen męczy, ja się budzę jak po rózgach, mnie on we śnie bije. Ja spać nie chcę. Na jawie go nie widzę, we śnie ciągle, nie chcę spać! o nie!...

Dulębie przykro się zrobiło.

— Czas to uspokoi i zatrze.

— Pewnie, pewnie — szyjąc znowu, odezwała się Agafia.

Sądząc, że jej jest natrętny, Dulęba wstał. Podniosła oczy ku niemu.

— Siedź — rzekła — będziemy gadali... myśmy starzy przyjaciele. Waćpan byłeś zawsze dobrym człowiekiem i nie biłeś mnie nigdy cybuchem. Raz nawet pamiętam, przywiozłeś mi wianuszek bławatków, trzymałam go w wodzie. Wiesz! do trzeciego dnia opadły.

Dulębę wspomnienie to rozczuliło; wziął ją za rękę i chciał pocałować. Zlekka ukłóła go igłą.

— Dajże pokój! daj! To już nie ręce; ja dawniej miałam piękne i białe, a te, to kości i skóra i brudne, nie do całowania.

Westchnęła. Chustkę szytą niby położyła na kolanach, zaczęła ją przeciągać, łzy spadały na nią.

— Pan jeszcze nie wiesz nic! nic! panie pułkowniku, jaką ja miałam śliczną dziecinę! To była córeczka; oczy czarne, duże, usta malusie. Gdybyś widział te pulchne rączki, a! zjeść się je chciało pocałunkami. Karmiłam ją sama. Przyszedł pijany, od słowa do słowa, począł mnie bić. Opanował mnie gniew, pokarm żółć zatruła i dziecina umarła.

Zakryła oczy.

— Znajdę tam Marynię na drugim świecie, bo jużci jest świat drugi? Ale jego tam nie będzie, bo musi być i świat trzeci.

Dulęba słuchał i czuł, że mu się chwilowo zbierało na łzy, opuścił głowę.

— Nieszczęśliwa kobieta! — rzekł w duchu.

Jakby zapomniawszy o dziecku, Agafia nagle spytała:

— Powiedzże mi, kiedy mogiła porośnie?

— Prędko, prędko, na wiosnę — rzekł pułkownik — ale nie myślmy o tem. Jeśli to dla waszego spokoju potrzebne, ja ją odarniować każę.

— Tak, tak, odarniować! oszukamy czas i serce, powiemy sobie, że to już bardzo stara mogiła. Ale w niej pierścionek...

Dulęba znowu wstał... Agafia wydawała się jakoś przytomniejszą. Zawołała Horpynki, która była w drugiej izbie.

— Przynieś pułkownikowi, co chce, kawy, niech nie odchodzi. Samej mi straszno... Tylko cybucha nie! nie! Mógłby mnie nim bić! Nie mogę znieść jego widoku.

— Zlituj się pani! któż rękę na kobietę podnieść może?

Agafia poczęła mu się przypatrywać.

— Nie wierzysz? — roześmiała się — a! boś żony nie miał! Żony bywają złe, a mężowie bywają pijani!

Musiano aż odwołać pułkownika, tak się zasiedział u wdowy; wychodząc, wzdychał nad losem nieszczęśliwej kobiety.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Krzyż na rozdrożu.

Samotnie swoje wyciąga ramiona
Krzyż pochylony u rozstajnych dróg...
Stopy swe w maki oplótłszy czerwone,
I w najeżony ostrym cierniem głóg...

I smutnie duma — a blask słońca złoty
Na głowę Zbawcy kładzie jasny krąg,
Z dali gdzieś płynie, echo dum pastuszych,
I woń, z usłanych świeżem sianem łąk.

A tak tu cicho — gwar tu nie dolata,
Choć tam na świecie, straszne burze dmą,
Tylko krzyż wznosi ku niebu ramiona...
Jakby się modlił za tę ludzkość złą.

Stefania Szybowiczówna.

Wojna włosko-turecka.

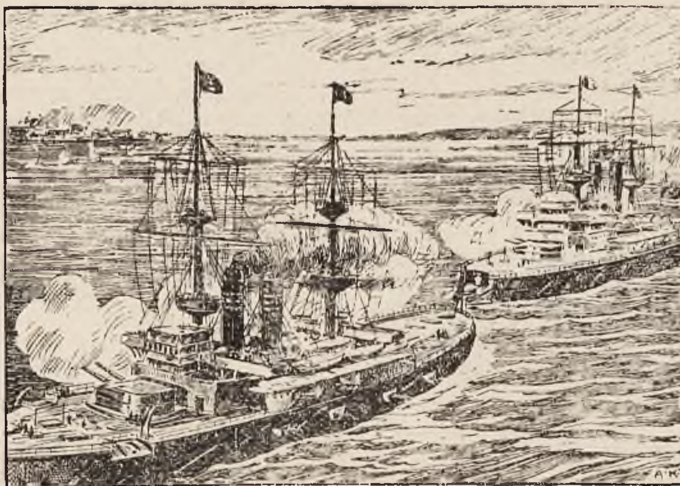
Rozpoczęta z końcem ubiegłego miesiąca wojna Włoch z Turcyą o kraj północno-afrykański Trypolis, była w pierwszych dniach po wybuchu przedmiotem gorączkowego zainteresowania się nią całego świata. Zdawało się, że będzie ona początkiem poważnych zaburzeń nietylko tam, gdzie ma się toczyć, ale i na półwyspie Bałkańskim w państwach sąsiadujących z Turcyą, że wywoła szereg powstań wśród ludów, podległych berłu tureckiemu, a pragnących zrzucić z siebie okowy jej panowania, ba, że przyjść może nawet do groźnych starć między monarchią austro-węgierską a Włochami, które w pobliżu Dalmacyi rozpoczęły walki na morzu. Gazety straszyły nawet widmem wojny ogólno europejskiej; pisano o mobilizacyi wojsk austryackich, o przygotowaniach do wojny w Serbii, Czarnogórze, Bułgaryi, Grecyi, o powstaniu na wyspie Krecie, która pozostaje pod zwierzchnictwem Turcyi, a pragnie dostać się pod panowanie greckie. Straszono rzeziami nie tylko Włochów, ale wogóle wszystkich chrześcijan w całem państwie tureckiem.



Wyjazd wojsk włoskich na wojnę.

Obawy wzniecone temi doniesieniami dzienników nie sprawdziły się Były to gwałty na papierze, robione umyślnie z jednej strony przez Turcyę, która w ten sposób pragnęła zmusić państwa europejskie, aby wdały się w tę sprawę i odwróciły od niej zabór Trypolisu, z drugiej strony źródła włoskie podawały przesadzone wieści o licznych starciach na morzu, o zatopieniach okrętów z wojskiem tureckiem i t. p., aby pochwalić się przed światem odwagą i dzielnością swego wojska.

Po dniach kilkunastu burzliwe fale przesadzonych alarmów wojennych opadły i rzeczywistość potwierdziła to, co doświadczeni politycy pisali, że sprawa zajęcia Trypolisu była ułożona dawno między mocarstwami. Żadne więc Turcyi nie pospieszyło z pomocą, Turcya zaś, obawiając się na prawdę groźnych dla siebie skutków ze strony mocarstw chrześcijańskich, gdyby dopuściła do rzezi chrześcijan, w istocie zdołała temu zapobiedz, przynajmniej dotąd. Jedyne zło, które Włochów w Turcyi spotkało, to ubicie handlu licznych kupców włoskich w Turcyi. Sklepy musieli zamknąć i opuścić kraj. Tu i ówdzie były przy tem nieznaczne rozruchy. Handel włoski w Turcyi ponosi ogromne straty. Armia włoska żadnych bohaterskich czynów nie dokonała, bo mając wyborne i olbrzymie okręty wojenne, jakich Turcya nie posiada, ma na morzu, w chwili zdobywania punktów nadbrzeżnych Trypolisu olbrzymią przewagę.



Bombardowanie Trypolisu.

To też dotąd pewnem jest, że zdobyły miasto Trypolis, które wojska tureckie opuściły. Obsadzenie miasta odbyło się spokojnie. Strzały z armat okrętowych zniszczyły tylko stare fortyfikacye. Domy Europejczyków, konsulatów i władz podobno nie doznały uszkodzeń, w ludziach strat bardzo mało, bo tylko 20 zabitych znaleziono w fortach. Nastąpiło bombardowanie innych miast nadbrzeżnych, które zapewne też dostaną się w ręce włoskie. Dopiero zajęcie całego, bardzo rozległego kraju, będzie naprawdę wojną. W ostatnich dniach już przyszły wiadomości, z których wnioskować można, że zdobywanie Trypolitanii zapowiada się ciężko i krwawo.

Wojsko tureckie, które miasto Trypolis opuściło, w słusznem rozumieniu, iż nie wytrzymałoby bombardowania z pancerników włoskich, tysiące zaś Turków bezpłodnieby zginęło, teraz, cofnąwszy się wgłąb kraju, zajęło obronne stanowisko, zebrawszy się w oddaleniu 10 mil od Trypolisu. Oprócz regularnego wojska udało się komendantowi tureckiemu zebrać jeszcze 20 tysięcy Arabów, co prawda źle uzbrojonych, ale na chrześcijan niezwykle zaciętych i mężnych. Niektóre źródła podają, że tych Arabów jest dwa razy więcej, bo 40 tysięcy. Te pałające nienawiścią do najezdców zbrojne zastępy mahometan będą niewątpliwie staczać gwałtowne walki z wojskiem włoskiem, które może wprawdzie przeciwstawić im większą siłę liczebną, lecz zato będzie ono walczyć na gruncie obcym, tubylcy zaś, znając doskonale położenie kraju, z zasadzek mogą ustawicznie niszczyć Włochów. Wobec tego zdaje się, że wojna przewlec się może długo, chyba, żeby pośrednictwo mocarstw, o które prosi dotąd bezskutecznie Turcya, wpłynęło na rychlejsze jej zakończenie.

Na pierwszym z podanych wyżej obrazków widzimy wojska włoskie żegnające się ze znajomymi przed odjazdem na niepewne losy wojenne. Matki, siostry, narzeczone wyszły na dworzec kolejowy, aby po raz ostatni popatrzeć na tych, z których już wielu nie ujrzy swojej rodzinnej ziemi. — Drugi obrazek przedstawia flotę wojenną bombardującą z dział dalekonośnych stolicę Trypolisu, miasto Trypolis.

Na progu świątyni.

Walek Szczybiałka, chłop rolny, bogaty, pozbył się przecież swej ojcowskiej chaty, pozbył się pola, które ojciec płużył, któremu cały wiek życia przesłużył i w świat podążył z pod ojcowskiej strzechy, szukać w nim zabaw, rozrywek, uciechy.

Nie żal mu było tych promieni jasnych, które na niwę ojcowską się kładły i tych zbóż złotych tak miłych, bo własnych, i ptasząt, które w sadach się rozsiadły... Nie żal mu było! Z garścią całą groszy poszedł w świat szukać szczęścia i rozkoszy.

Walek Szczybiałka poszedł w cudze kraje. Porzucił lekko te ciche ruczaje, które wśród polnych traw i ziół szeleszczą; które tak ucho nasze mile pieszczą i poszedł szczęścia szukać gdzieś za wody... Poszedł, bo jeszcze był głupi i młody.



I hulał Walek za ojcowskie grosze! Codzienne inne wymyślał rozkosze; i póty sobie i dla innych płacił, póki swej całej spuścizny nie stracił. Wtedy to rozpacz zdjęła Walka wielka, bo uciech znikła już nadzieja wszelka...

Rozpacz mu straszna serce omotała — w mózgu się wiła złych myśli nawała... Nie chciał pracować ten, co gardził pracą a hulać, szaleć, już nie było za co. W rozpaczy płakać jął jak dziecię małe i szedł w rozpaczy łeb strzaskać o skałę.

Szedł... a przyszedłszy przed świątyni progi przystanął chwilę i załkał gorąco; zgięły się pod nim wnet omdlałe nogi, że go utrzymać nie mogły swą mocą... A choć był silny, bo zdrowy i młody, upadł, jak starzec, na kościelne schody...

A gdy tak leżał z boleści omdlały, jakieś się dziwne blaski ukazały, niby świt ranny, niby blaski zorzy, a wśród nich stanął jasny Anioł Boży i w te do Walka odezwał się słowa:

— Bóg dla grzeszników w sercu litość chowa! Przestań rozpaczać a pracy się imaj, a szczęście znajdziesz w tej życia wędrówce. Porzuć zabawy a pracy się trzymaj — bądź w niej podobny zawsze małej mrówce, a wtedy życie twe będzie szczęśliwe, a wtedy szczęście twe będzie prawdziwe!

I powstał Walek i rzucił uciechy a opłakawszy swoje dawne grzechy, rąk w pracy swojej więcej nie żałował. Pracą, choć ciężką szczęście swoje kował, a gdy znów wrócił do rodzinnej strzechy, był pełen szczęścia i pełen uciechy.

Antoni St. Bassara.

Handel bydłem rzeźnem.

Podstawą gospodarki włościańskiej jest hodowla bydła. Rozumie to już dzisiaj każdy włościanin, że jeżeli ze sprzedaży bydlęcia »nie pociągnie«, to braknie mu gotówki na opędzenie najniezbędniejszych wydatków, podatki, odzież, narzędzia rolnicze itp. Zboże uprawiane przez włościan idzie dziś przeważnie na domowe potrzeby.

Nawet gdy włościanin zboże np. w jesieni sprzedaje, to na przednowku za odpowiednio wyższą cenę je kupuje, więc gotówki z uprawy zboża najczęściej nie ma. Są nawet kraje, które o ile możności ograniczają uprawę zboża do najkonieczniejszej potrzeby, bo to wobec konkurencyi zboża amerykańskiego, uprawianego na olbrzymich przestrzeniach Ameryki u nas w Europie mało się opłaca.

Więc hodowla bydła staje się obecnie główną podstawą gospodarki współczesnego rolnika, bo ona mu daje gotówkę, uzyskaną za sprzedaż rzeźnego materyału. Ale powiedzmy sobie zupełnie otwarcie, że dochód z hodowli naszego bydła byłby daleko większy, gdyby u nas gospodarkę hodowlaną należycie prowadzono. Nasi rolnicy nie umieją jeszcze bydła hodować i nie umieją wyhodowanego bydła sprzedać. Hodowla bydła jest już przemysłem rolniczym, bo hodowanie bydła to coś w rodzaju żywej fabryczki, która artykuły surowe czyli rozmaite rodzaje paszy i karmy przerabia na mięso, tłuszcz, skórę, kości, rogi itp. A kto chce na przemyśle zarabiać, ten musi się rozumieć na tym przemyśle, musi go prowadzić z ołówkiem w ręku, aby z pracy swej i wkładów miał jak największy dochód.

Nie wystarczy jednak dobrze coś wyhodować, trzeba jeszcze umieć każdą wyhodowaną sztukę dobrze i korzystnie sprzedać. A w żadnej gałęzi gospodarstwa nie dzieje się tyle nadużyć, co właśnie w handlu bydłem. Cały nasz handel bydłem opanowany jest przez pośredników, którzy starają się jak najtaniej kupić a jak najdrożej sprzedać, bo wtedy im najwięcej w kieszeni zostaje. Cierpi na tem rolnik i kupujący mięso, bo jeden i drugi jest wyzyskiwany. A im pośredników jest więcej, tem wyzysk większy, bo każdy chce żyć i jak najwięcej zarobić.

Dobrze obejść się bez kupca i pośrednika, ale jak? Przecież ten kupiec rozwozi nasze bydło po całym kraju, prowadzi je do dalekich miast i tam je spienięża, a tego rolnik zrobić nie może, bo czasu na to nie ma i koszta drogi zjadłyby cały zarobek. Otóż jest na to rada! Trzeba bydło sprzedawać przez organizacyę. Organizacya zawiezie rolnikom bydło tam, gdzie je będzie można najkorzystniej sprzedać, organizacya te sztuki najkorzystniej sprzeda i cały dochód rolnikowi odeśle do domu. W ten sposób rolnik nie potrzebuje napychać swoją krwawicą kieszeni bogatych kupców, znajdzie najdogodniejsze rynki zbytu i może być pewnym, że go nikt nie oszuka, ale dostanie tyle, ile jego bydło jest rzeczywiście warte.

Tak zorganizowana sprzedaż bydła, zwłaszcza nierogacizny, jest u nas dotąd jednak przeważnie luźna, to znaczy, że przez organizacyę sprzedaje ten, kto chce i ile chce. Jednego tygodnia może pójść na sprzedaż i kilka tysięcy sztuk, drugiego może nie pójść ani jedna. A w Wiedniu i w innych miastach żołądki co dnia pracują. Potrzeba mięsa coraz bardziej wzrasta, bo przemysł rozwija się ogromnie i odciąga ludność od roli do fabryk. Wyłania się więc siłą rzeczy potrzeba, aby dostawa bydła była stała. Bo każdy już musiał zauważyć nawet na małych targach to prawidło: że gdy bydła dużo a kupców mało — to cena bydła spada. I na odwrót: gdy bydła mało a zapotrzebowanie duże, to cena idzie w górę. A więc najważniejszą rzeczą w handlu bydłem jest opanować spęd, to znaczy puścić na targ mniej więcej tyle sztuk, ile ich dla pokrycia zapotrzebowania potrzeba i wyszukać takie targi, gdzie można bydło najkorzystniej sprzedać.

Tego wszystkiego nie dostrzeże naturalnie rolnik we wsi siedzący, ale jakiś człowiek czy grono ludzi, obeznanych ze sprawą i w tem pracujących. Otóż tacy ludzie siedzieć będą w organizacyi i oni będą hodowcom wskazywać, kiedy, gdzie i jak najkorzystniej można bydło sprzedawać.

Jednak aby organizacya sprawnie i z korzyścią działać mogła, muszą się sami hodowcy powiązać w spółki i powiedzieć sobie: będziemy odtąd sprzedawać wszystkie nasze sztuki tylko przez organizacyę i ani jednej sztuki nie sprzedamy prywatnym handlarzom.

Jeżeli hodowla i zbyt bydła, ta najważniejsza i najżywotniejsza gałęź naszego rolniczego gospodarstwa ma stanąć na takim poziomie, na jakim stanęła gdzieindziej, muszą rolnicy hodowcy bydła zorganizować się w spółki hodowli i zbytu bydła.

Trzeba więc zakładać spółki hodowlano-sprzedażne, bo to jedyny sposób zapewnienia sobie największego dochodu z hodowli bydła.

Powie teraz ktoś: Dobrze, założymy taką spółkę, ale kto tej spółce dostarczy kredytu i potrzebnych wskazówek, aby praca nasza szła należycie i kto nam nasze wyhodowane bydło sprzeda. Otóż i na to znalazł się sposób. Już pisano o tem w gazetach, że z dniem 1 września b. r. założona została we Lwowie »Galicyjska spółka zbytu bydła i trzody chlewnej«. Jest to instytucya stworzona przez nasze wielkie Towarzystwa rolnicze razem z ministerstwem rolnictwa. Na założenie tej spółki dało Tow. Kółek rolniczych 30.000 kor., c. k. Towarzystwo gospodarskie 30000 kor. i c. k. Tow. rolnicze 30.000 kor., Filia c. k. Zakładu kredytowego dała 50.000 kor. a poza tem włożyli rolnicy jeszcze szereg innych udziałów, tak że kapitał zakładowy tej spółki wynosi 151.000 kor. Ta spółka, mając takie podstawy finansowe i mając zapewniony dostateczny kredyt w jednej z najpoważniejszych instytucyi finansowych, będzie dostarczać potrzebnego rolnikom kredytu na około 6 proc. na racyonalny chów bydła, a równocześnie zajmować się będzie sprzedażą bydła na najkorzystniejszych dla rolników warunkach. — Spółka lwowska nie może zajmować się pojedynczym rolnikiem, bo to podniosłoby koszty utrzymania całego przedsiębiorstwa i dlatego w interesie samych hodowców jest, aby się zorganizowali w spółki hodowlano-sprzedażne i oparli swą finansową działalność i sprzedaż bydła na lwowskiej spółce. Ona, zatrudniając ludzi fachowych, dostarczy spółkom miejscowym potrzebnego kredytu i wyszuka dla nich najkorzystniejsze rynki zbytu, ona skupiając stosunkowo w swych rękach handel bydła, nie dopuści do takiej manipulacyi z cenami bydła, aby rolnik na swojej pracy stracił.

Taki jest cel tej spółki lwowskiej i spółek miejscowych.

Spodziewamy się, że w czasach ogólnie panującej drożyzny i braku mięsa rolników zainteresuje ta sprawa i że się wezmą dzielnie do pracy w tej gałęzi gospodarstwa, tem bardziej, że Spółka zbytu bydła i nierogacizny we Lwowie (ulica Słowackiego l. 16) udzieli chętnie każdemu w tej sprawie informacyi i dostarczy statutów i druków potrzebnych do zawiązania miejscowej spółki.



W rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki.

(15 października 1817 r.).

Hen poza krańcem polskiej świętej ziemi,
Kędy świat bliżej ku niebiosom sięga,
Gdzie góry Alpy szczytami swoimi
Zdają się w niebie zanurzać jak wstęga,

Odszedł duch wielki w bezbrzeżne krainy,
I już go więcej nie masz między nami:
I smutek wszystkich ogarnął dziecinny,
Kiedy bez ojca pozostali sami.

Jakoby pielgrzym, wyzuty z ojczyzny,
W tęsknocie spędził dni swojego życia:
Taką zapłatę miał za swoje blizny,
Że drogą prawą chodził od powicia...

Niedługo gościł tam na obcej ziemi:
Rodacy jego zwłoki sprowadzili
I położyli tu między swoimi,
W królewskim grodzie mirrą okadzili.

I popłynęła modlitwa w niebiosa
Z setek rozdartych serc ludu polskiego;
— Jako sierota, kiedy idzie bosa,
Za duszę ojca modlić się swojego,

Poszli wieśniacy ze szlochem i jękiem,
Smutek im czoła uwieńczył żałobą,
I dzwony jęczą żałośliwym dźwiękiem
Za naczelnikiem, za wodza osobą.

Hej! pamiętają go polscy włościanie
I nigdy jego zapomnieć nie mogą,
Jako naczelnik odziany w sukmanie,
Wiódł po zwycięstwie racławicką drogą.

On, jako gwiazda przewodnia na morzu,
Wskazał ludowi jego przyszłe drogi,
Jak się kierować na morskiem rozdrożu,
By nie zabłądzić między skały, głogi...

I poszły stany usypać mogiłę
W braterskiej zgodzie, wszyscy bez różnicy;
Taki to naród wytwarza swą siłę,
Skupiony razem w prastarej stolicy.

A duch Kościuszki błogosławił w niebie
Zbratanej rzeszy zbolałego ludu
I Prosił Pana, by na polskiej glebie
Nie szczędził ofiar i Swojego cudu!

A ta mogiła, to pomnik nad spiże:
Świadczyć też będzie pokoleniom wieki,
Jako Ojczyzna w nawałności wirze
Wydała Syna nieśmiertelnej ręki.

Adam Jesionek.





MACIEK BZDURA GADA:

Mówiłem to zawse i dzisiaj powiadam, ze zazdrość, to okropnie brzydka rzec. A przecie nietylko ludzie grzyśni, ale i baby tej zazdrości wyzbyć się nijak ni mogą. Jak ta jesce ta zazdrość o co inksego, bagatelnego, idzie, to pół bidy, ale jak o chłopa, to rety!

Na dowód, ze nie brecham, ino prawdę mówię, posyłam wam dwa listy, jakie coinom dostał. W pirsym jakiesi stałe, cy stare, cytelnicki »Roli« od Kańcugi tak pisą:

Kochany Maćku! Zesłyśmy sie dzisiok po niesporach do Jewki Bajtałowej, żeby nam przecytała co Ty tam bajdurzys w »Roli«. Ale cóz, kiej zamiast nas rozweselić, zasmuciłeś jesce — a coś zazdrości między nas nasioł, to Ci do końca śmierci tego nie zapomnima. Nie skrob sie po Twym kudłatym łbie i nie zgaduj cymeś se takiego piwa nagotował, bo Ci to zara powiemy.

Nie wis zbereźniku, jakeś swoimi figlarnymi bzdurami w »Roli« podbiuł nase serca i wszyćkieśmy przylgły do Ciebie, jak muchy do miodu, a Ty, poganinie jeden, kces sie żynić z jakomsi tam łaksydrom Kaśkom łod Myrdały, (co moze »Roli« ani nie widziała, nie tak cytała) a my stałe cytelnicki co? hee?

Baśka Świstuniowa z Celkom łod Pietryny pyski se ło Ciebie podrapały, a Ty łocajduso nic na to?

Kiedy tak sie wszyćkie swarzom, jo jem gadom:

— Skoda, ze se gemby po durnicce psujecie, lepi uradźmy co robić, bo niebezpieceństwo wielgie na karku.

Rada w rade uradziłyśmy do Ciebie napisać, azebyś poseł gamoniu do Redakcyi »Roli« i poprosiuł, coby Cie rozlosowała miendzy swoje cytelnicki i postawiła jako pirsy »Podarek scęścia« na r. 1912. A jezeli sie bedzies łociągoł, to Ci ten pełechaty łeb Twój łobedrzemy, ze bendzies wyglondoł, jakby Cie mole łogryzły.

Zart zartem, Maciusiu, ale weź Boga do serca i kiedy sie tyla poświęcas la »Roli«, poświęćze sie i cały la jej cytelnicek a bedzie Ci dobrze jak u Myrdały za piecem nie lepi.

Twoje wielbicielki stałe cytelnicki »Roli«.

Ehę! ja wiem, cego jem się zachciwa! Pachnie jem chłop i ciągawki go na niego bierą, a poniewaz je wsiowskie chłopy znają, to chciałyby ułapić obcego i do tego nie pirsego lepsego, ale Maćka Bzdurę. One myślą, ze ja to koniowi z pod kopyta wypad, a ja se jestem chłopak niezgorsiejsy od innych najlepsych.

Ja wiem, jakbym tych bab z pod Kańcugi usłuchał i na pirsą nagrodę do »Podarku scęścia« się zgłosił, to gazyciarze nicby przeciw temu nie mieli, boby się jem zwaliła taka chmara prenumeratorów, coby se rady dać ni mogli. Ale coby wtedy ze mną było? Jakbym się ta dostał jakiej, stworzonej przez Pana Boga, to tam jesce... jesce, ale jakby mi się trefiła nieprzymirzając taka, jak moja gospodyni, toby dopiro była leluja! Ona miałaby »Podarek scęścia« a ja »Podarek niescęścia«!

Jak widzicie w pirsym liście te z pod Kańcugi otwarcie padają, ze mnie wszyćkie chcą, a latego co są zgodliwse radzą, abym się, jak jakie ciele, dał wylosować. Zato druga, ze Sufcyna, wiedząc, ze jej się nie dostanę, wprost tak do mnie pise:

O nie zeń się Maciuś, o nie zeń kochany!
Nie róbze ze siebie tak wielki odmiany,
Nie będziemy juz tak scyrze gazyty cytały;
I o tobie, Maciuś, ani wspominały.

Jak gazyta przysła, my do ni leciały!
I z ręki do ręki Ciebie wydzierały.
Z kiem sie tyz ozeni?... wciąz my se radziły,
I na Kaśceś potknął, o Maciusiu miły,

Ozenis się z Kaśką, z taką pyskownicą —
Będzie Cię wciąz swarzyć, złoi zarnówicą.
Nie doznas Ty scęścia przy ni ani krzyny,
Będzie wciąz pyskować, choćby bez przycyny.

O na Ciebie, Maćku, będzie wtedy gorzy
A i do gazytki nie tak się ułoży.
W usach będzie huceć Kaścyne gadanie,
Juz nie pójdzie z apetytem obiad ni śniadanie.

Nie zeńze się, Maciuś, choć za lat trzydzieści,
Az się lepsy znajdzie ten towar niewieści.
Kochajze nas wszyćkie i popieraj »Rolę«,
My ci zawse rozweselim kawalerską dolę.

Szczera przyjaciółka »Roli« i Maćka, ze Sufczyna.

Ja wiem, ze ta ze Sufcyna, to nie z zycliwości odradza mi zeniackę, ale ze zazdrości, ze się jej nie dostanę. Gani mi Kaśkę, bo Kaśki nie zna, ale jakby ją znała, toby się sama w ni zakochała, bo u Kaśki figura jak siennik.

Jaka ona mądra, ta ze Sufcyna, kiedy radzi, zebym cekał z zeniacką jesce lat trzydzieści! Jući! za ten cas wszyćkie panienki by się powydawały, jabym się zestarzał, a moze i światby się skończył. A choćby jesce nie, to któzby mi bez tyle roków jeść gotował, przyodziwę wyprał i dziecka bawił. Co prawda, to ta panienka obiecuje rozscęśliwiać moją kawalerską dolę, ale ja babskie obiecanki dobrze znam. Kuzda baba kawalirowi to wszyćko obiecywać będzie, a jak przyjdzie co do cego, to ze wszyćkiego klapa gieneralna. O, ja baby dobrze znam, to wiem, co o nich myśleć, bo one, cy z pod Kańcugi, cy ze Sufcyna, to wszyćkie jednakie.

A zreśtą, choćby człowiek chciał usłuchać, to sam nie wie kogo: jedne padają: »Daj się na »Podarek«, a drugie gadają: »Nie daj się zadnej za nos wodzić, ale cekaj lat trzydzieści!« I bądź tu teraz mądrym!

Najlepi to ja myślę, ze ani tej, ani tej nie usłucham, ale się Kaśki będę nadal trzymał, to prędzej do cego przyjdę.

A i Kaśka to samo mi radzi, bo pada, ze kuzda inksa to ino przed ślubem będzie mi się podlizywać a po ślubie to będzie mnie zarnówicą podlizywać. Choć i do Kaśki ja ni mom zupełny wiary, bo przecie padają: Strzelbie nie wierz z produ, koniowi z tyłu a babie z zadny strony, bo cy tak, cy tak, to ona cię wkońcu wykiwa i na dudka wyprowadzi. Najlepiej się więc trzymać swojego rozumu, choćby on i lichy był.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

OPOWIADANIE DRUGIE.

Opowiada panna Marya Wadwicz, córka regimentarza.

I.

Na prośbę pana Kazimierza Kosy, zamierzam opisać dziwne wypadki, jakie się przydarzyły w Grzymale od czasu jego odjazdu. Nim jednak do tego przystąpię, winnam wprzód opowiedzieć to, co bezpośrednio się tyczy pana Kosy i która, o ile mnie się zdaje, była przyczyną jego odjazdu. Według życzenia pana Kosy winnam w mojem opowiadaniu zamieścić wszystko to, co ma pośredni lub bezpośredni związek z jego sprawą, gdyż o ile wiem, opis mój ma posłużyć panu Kazimierzowi do wytoczenia całej sprawy przed sądy i służyć mu jako jeden z najważniejszych dowodów, broniących jego honoru.

W kilka dni po wyjeździe pana Kazimierza z domu mego dziadka, kiedym siedziała z Julcią, pełną smutku, który starała się ukryć, w sali wychodzącej na ogród i obie byłyśmy zajęte zwykłemi kobiecemi robótkami, wszedł nagle markiz i oświadczył nam tonem bardzo poważnym, że dziadunio nas wzywa do swej kancelaryi dla zakomunikowania nam ważnych wiadomości. Julcia zbladła, tknięta jakby jakiemś przeczuciem złowieszczem i konwulsyjnie ścisnęła mię za rękę. Nie puszczając jej drżącej rączki, zwróciłam się do markiza i rzekłam spokojnie:

— Cóż to za wiadomości, markizie, że aż przybrałeś tak poważną minę, która Julcię przestrasza?

— O! niech się piękna Julia nie przestrasza! — zawołał, podbiegając ku niej — niema nic strasznego, są może rzeczy przykre, bardzo nawet przykre, ale ostatecznie są one nam wszystkim obojętne... Nieba! — dodał z teatralnym zapałem — jażbym miał przestraszać piękną naszą boginię!

I byłby markiz dalej jeszcze zapewne prawił swe szumne frazesy, których próżność i kłamstwo znałam dobrze, gdybym mu zimno nie przerwała:

— Czy mamy iść zaraz do dziadunia?

— Tak, jeśli łaska, czekamy tylko na panie.

Wzięłam więc Julcię za rękę i poszłyśmy na drugą stronę dworu, gdzie się mieścił pokój dziadka, zwany powszechnie kancelaryą. Markiz szedł za nami. Przeczucie mi szeptało, że będzie tu mowa o Kazimierzu, gdyż od kilku dni o niczem w całym dworze nie mówiono, jak o kradzieży owego rubinu. — Wiedząc już, że to jest potwornem kłamstwem, postanowiłam sobie bronić pana Kosę do upadłego.

Zastałyśmy tutaj zebraną całą naszą rodzinę. Dziadunio siedział w swym dużym fotelu, mroczny jakiś i smutny, a przed nim leżała na stole paczka jakichś zżółkłych, starych papierów, które musiały być obwiązane czerwoną wstążką, gdyż takowa spłowiała rzucona niedbale, wiła się obok po stole. Na papierach tych dziadunio trzymał swą wyschłą dłoń.

Obok dziadunia siedziała ciotka Antoanetta, jak się sama każe nazywać, wachlując się i bawiąc z pieskiem, który, leżąc na kolanach, obgryzał jej wstążki. Naprzeciw ciotki, z drugiej strony stołu, oparty o poręcz krzesła, stał hrabia Holm, ubrany w błyszczący mundur jenerała austryackiego, poważny i zamyślony. Pokój duży zastawiony był mnóstwem starych rupieci, jak zbroje, szable, rzędy itp., panował zielonawy mrok od spuszczonych stor, gdyż o tej porze słońce świeciło w same okna kancelaryi.

Gdyśmy weszły, dziadunio podniósł oczy i wpatrzył się jakimś strasznym wzrokiem w Julcię. W pokoju całym panowało głębokie milczenie, przerywane tylko zgrzytliwym stukiem starego zegaru, co gdzieś w kącie wisiał. Hrabia, spostrzegłszy nas, ukłonił się grzecznie i podsunął dwa krzesła, tak że usiadłyśmy wprost dziadunia, który ani na chwilę nie spuszczał swych oczu z Julci i nie zmienił w niczem jakiegoś strasznego w nich wyrazu. Markiz swym kocim ruchem obszedł stół naokoło i stanął obok dziadunia. Dotąd nikt ust nie otworzył i wciąż panowało głębokie, przykre milczenie.

Nakoniec dziadunio rozpoczął:

— Wezwałem tu was dla sprawy ważnej, a rzec też muszę dość przykrej i bolącej. Markizie poczynaj.



...Gdyśmy weszły dziadunio podniósł oczy.

Julcia była blada i czułam, jak ściska moją rękę. Co do mnie, nim markiz zaczął mówić, odezwałam się, usiłując nadać mojemu głosowi cały spokój, choć czułam, że drży nieco.

— Przepraszam, że przerywam. Nim jednak nastąpią wyjaśnienia, dla których nas tutaj tak uroczyście wezwano, muszę zwrócić uwagę twoją, kochany dziaduniu, na dwie okoliczności, które mi się wydają dość dziwnemi...

— Ano... cóż to takiego? — poruszył się dziadek — gadaj!

— Muszę się spytać, czy sprawa, o której mamy mówić, przykra i boląca, jak ją dziadunio nazwał, jest rodzinną?

— Hm! jużcić tak... do pewnego stopnia...

— W takim razie, proszę mi nie mieć tego za złe, nie widzę żadnego powodu, żeby jej nie załatwić między dziaduniem, ciocią, mną i Julcią.

Hrabia Holm powstał z krzesła i kłaniając mi się, rzekł spokojnie, choć głos mu drżał:

— Masz pani zupełną słuszność, jestem tu niepotrzebny i wychodzę.

— O! nic z tego! — porwał się dziadunio na równe nogi — zostań waść! ja tu pan i głowa rodziny, ja jeno wiem, co przystoi albo nie, zostań jenerale, sprawa jest rodzinna, ale i ty jesteś członkiem rodziny — owo co jest.

— Pan jenerał Holm — rzekłam na to — jakkolwiek nie wątpię, że zostanie mężem Julii, jednak dotąd nie jest przez nią stanowczo przyjęty, nie należy zatem do rodziny... zresztą nie o hrabiego mi idzie, ale o pana markiza, który, jak sądzę, nie ma najmniejszych podstaw, by być świadkiem bolących wyjaśnień familijnych.

Markiz pobladł nieco, a usta drgać mu poczęły nerwowo. Przecież uśmiechnął się i rzekł swym słodkim tonem:

— Panna Marya miałaby zupełną racyę, przynoszącą zaszczyt jej wyższemu rozumowi, gdyby nie

ta okoliczność, że ja, markiz Don Diego Cantalacillo Fontiveras, jestem przyjacielem pana regimentarza, że ja tylko spowodowałem te wyjaśnienia, o których będziemy mówić, odgrywając w wypadkach je poprzedzających pierwszorzędną rolę, że zatem jestem tu konieczny; że nakoniec z tajemnic rodzinnych ja więcej wiem, niż pani..

— To mi się dziwnem wydaje, że pan lepiej znasz tajemnice rodzinne, jeżeli są jakie, odemnie. Ale nie mówmy już o tem, proszę mi przebaczyć...

Dziadunio usiadł i rzekł:

— Gadaj więc markizie!

Należy mi tu wspomnieć o jednej drobnej okoliczności, która wreszcie może nie ma głębszego znaczenia, że w chwili, gdy markiz wygłaszał swe długie i szumne tytuły, hrabia Holm uśmiechał się ironicznie i przygryzł wargi, a w oczach widoczny miał wyraz pogardy.

— Przedewszystkiem — rozpoczął markiz, przybierając teatralną pozę — muszę sięgnąć do głębokiej stosunkowo starożytności, odgrzebać pleśń wiekową, wywołać z trumien śniących tam snem nieprzespanym, jak powiedział znakomity poeta polski. Jest temu sto kilkadziesiąt lat, gdy jeden z przodków pana regimentarza, kasztelan sandomierski Bogdański, należąc do wyprawy króla Jana IIIgo pod Wiedeń, zdobył tam w namiotach wezyra Kara Mustafy drogocenny klejnot, istny skarb, wielki rubin, nieoszacowanej wartości. Rubin ten testamentem swoim, który oto leży tu na stole, pokryty pyłem wiekowym, zapisał najstarszym synom w rodzie. Jakoż rubin ten przechodził koleją z syna na syna, aż po dziś dzień. Gdy atoli na nieżyjącym już dziś synu pana regimentarza wygasła zasłużona rodzina Bogdańskich i została tylko ostatnia jej latorośl w osobie obecnej tu panny Julii Bogdańskiej, rubin ten, mocą testamentu śp. kasztelana sandomierskiego, ma być sprzedany, a z otrzymanej za niego sumy, bezwarunkowo wysokiej, jedna trzecia winna być ofiarowana na kościół, dwie zaś trzecie wręczone przyszłemu mężowi panny Julii. Taka jest wola testatora i pan regimentarz postanowił ją bezwarunkowo wykonać. Zaszła atoli okoliczność przykra, niespodziewana, która całą kwestyę zmienia z gruntu. Rubin ten, skarb nieoszacowany, oceniony przed stu kilkudziesięciu laty na trzykroć sto tysięcy złotych, dziś zapewne drugie tyle wartujący, został przed paru dniami skradziony.

Tu markiz zatrzymał się i spojrzał po obecnych, prawdopodobnie dla przekonania się o wrażeniu, jakie jego słowa wywarły. Dziadunio siedział oparty na ręku i widziałam, jak po jego bruzdami zoranem czole ciekły długie krople potu. Hrabia był poważny i zimny, w całej jego twarzy widocznym był wyraz grzeczności, który zdawał się mówić:

— Słucham was, boście mię wezwali i grzeczność mi nakazuje siedzieć tu do końca, ale bądźcie pewni, że mię to nic a nic nie obchodzi.

Jednakże ja, com od chwili rozmowy ostatniej z panem Kazimierzem, zaczęła wątpić o charakterze hrabiego von Holm, nie spuszczałam ani na chwilę wzroku z jego twarzy i zdawało mi się, że kiedy markiz swą długą mowę zakokludował wieścią o kradzieży rubinu, usta hrabiego zadrżały a w oczach mignął promień gniewu. Trwało to jednę sekundę, krótką, przelotną, ale bądź co bądź moje podejrzenie ciągle wzrastało. Tymczasem ciocia, która dotąd siedziała milcząca, wachlując się tylko ciągle i bawiąc się z pieskiem, rzekła:

— Doprawdy to zaczyna być ciekawe. Nie wiedziałam, markizie, że umiesz tak pięknie opowiadać. Ja coś słyszałam o tym rubinie, ale nie przypuszczałam, by to była tak romantyczna historya, proszę cię, mów dalej. Koko, drogi piesku, podrzesz mi zupełnie wstążki.

— Tak, piękna damo, jest to cały romans — odrzekł markiz — który ma jednak tragiczne zakończenie. Jakem to już miał zaszczyt objaśnić, rubin ów został przed paru dniami skradziony. Mieścił się on w jednym z pokojów pierwszego piętra, zwanym Sułtańską komnatą, do której nikt nie wchodził, oprócz pana domu. Taka była wola testatora. Rubin ten był tam bezpieczny. Pokój ów bowiem otaczała zabobonna wieść i nikt z mieszkańców tego domu nie odważyłby się tam wejść. Trwoga przed widmem czy duchem jakimś pilnowała przez lat sto kilkadziesiąt ów klejnot, lepiej niż zamki i straże. Wraz z rubinem w komnacie mieścił się testament kasztelana sandomierskiego. Przed paru dniami widziano z ogrodu w nocy światło w sułtańskiej komnacie, są na to świadkowie... a nazajutrz znaleziono ten testament w pokoju sąsiadującym z Sułtańską komnatą, a zajmowanym przez porucznika, pana Kazimierza Kosę... a zatem on skradł...

Markiz nie skończył, bo w tejże chwili Julcia porwała się, wyprężyła i okropnym, rozdzierającym głosem krzyknęła:

— To fałsz!...

I padła zemdlona w moje objęcia. Kto żył skoczył ku niej, nawet ciocia podbiegła z perfumami ku niej i poczęła pryskać jej na twarz bladą, prawie martwą. Z przymkniętych oczów biednej Julci toczyły się dwie duże łzy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



PÓJDĘ W ŚWIAT.

Gdy słońce na niebie
Zaświeci złociste,
Pójdę w świat za oczy,
W pole pójdę czyste.
Pójdę na pagórki,
Spojrzę w każdą stronę,
Zobaczę ścierniska
I bory zielone.
Zobaczę zagony,
Poorane świeżo,
Co, jak czarne wstęgi,
Na pagórkach leżą.
Spojrzę w stronę miasta,
Na wieżę kościoła,
I na rozłożone
W okolicy sioła.
Popatrzę na chaty,
Na ich białe ściany,
A potem na drogę,
Na stare kasztany.
Sięgnę w dal oczyma,
Gdzie sine pagórki
Majaczą, nad nimi
Białe płyną chmurki.
A może zobaczę
Mój domek nad rzeką...
Nie pójdę ja jednak
Zanadto daleko...
Wrócę znaną ścieżką,
By w twoje okienko,
Razem z jasnem słonkiem
Zaglądnąć, panienko!

Arkadyusz Szarek.

Zamach na ministra.

W ubiegły czwartek, t. j. 5 października b. r., stała się w parlamencie austryackim rzecz wprost ohydna: padły strzały z ręki socyalisty, skierowane do ministra sprawiedliwości Hohenburgera.

W dniu tym została otwarta jesienna sesya parlamentu austryackiego. Już od samego początku, jeszcze przed rozpoczęciem posiedzenia, można było zauważyć, że nad parlamentem wisi jakaś burza.

W ostatnich tygodniach Wiedeńczycy zamknęli szkoły czeskie w Wiedniu. Dotknęło to do żywego Czechów, więc zgromadzili dzieci szkolne czeskie, w liczbie około 400, w gmachu Rady państwa, aby widok ich poparł słuszne żądania otwarcia czeskich szkół dla dzieci czeskich.

Deputacya tego maleństwa byłaby przeszła w spokoju, gdyby nie jeden z byłych posłów niemieckich, który począł drwić z czeskich dzieci i ich rodziców. Wtedy posłowie czescy rozgoryczeni rzucili się na prowokatora, wskutek czego przyszło do bójek pomiędzy Niemcami a Czechami.

Biedne dzieci, krzycząc, kryły się po kątach, a zapewne nie budowały się bardzo widokiem bijących się posłów.

Niewiadomo na czem byłaby się ta bójka skończyła, gdyby nie wezwanie do spokoju przez prezydenta Sylwestra. Na wezwanie to zawstydzeni posłowie uspokoili się.

Niezadługo rozpoczęło się posiedzenie Izby poselskiej. Pierwszy począł przemawiać poseł socyalistyczny Adler. W mowie swej wystąpił on przeciwko surowym karom, jakie zostały nałożone na tych, którzy w Wiedniu, podczas demonstracyi drożyźnianej wyprawiali awantury, bili szyby i niszczyli szkoły.

W ciągu swej mowy poseł ów wypowiedział podniesionym głosem: »Dziwić się należy, że rozpacz ludu nie objawia się jeszcze w całkiem inny sposób i że lud tak spokojnie znosi swoją nędzę«.

Gdy te słowa wypowiedział ów socyalistyczny poseł Adler, inny socyalista, nazwiskiem Niegus Wawrak, z okrzykiem: — Niech żyje socyalizm! — począł z galeryi strzelać z rewolweru do miejsc, gdzie siedzieli ministrowie.

Padły cztery strzały. W sali zapanowało ogromne wzburzenie. Posiedzenie w tej chwili przerwano.

Wielu posłów pospieszyło do ministra sprawiedliwości, na którego zamach był wymierzony, aby mu złożyć życzenia.

Jedna z kul przeszła obok ministra oświaty Stürgkha, jednakże nie trafiła go. Ława ministrów jest w trzech miejscach przedziurawiona kulami. — Z obecnych w Izbie posłów i ministrów nikt nie został zraniony.

Na galeryi przeznaczonej dla widzów wszczął się również ruch: jedni poczęli uciekać, inni przytrzymali złoczyńcę. Ten odrazu przyznał się, że jest socyalistą i że chciał zabić ministra Hohenburgera.

Posłowie wszystkich narodowości pospieszyli do ministra, który prawie cudem uszedł niebezpieczeństwa, aby mu objawić swą radość z ocalenia. Nawet posłowie socyalistyczni poczęli się wypierać Niegusa i niby to ganić jego czyn.

Oczywiście po zamachu owym zaczęto to niebywałe zdarzenie omawiać w Radzie państwa. Poseł Adler chciał tłómaczyć, że socyaliści nie mają nic wspólnego z mordercą, ale inni posłowie nie dali mu mówić, wołając: Kończyć! kończyć! Morderca!

Po Adlerze przemówił prezes ministrów, baron Gautsch, który zaznaczył, że ludzi chcących pracować dla dobra społeczeństwa, żadne zamachy od pracy nie odwiodą.

Z TYGODNIA.

Parlament a drożyzna. Najważniejszą bezsprzecznie sprawą, zajmującą obecnie austryacką Izbę posłów, jest sprawa niesłychanej drożyzny, dotkliwej zarówno dla mieszkańców miast, którzy co najpotrzebniejsze artykuły codzinnego użytku i mieszkania płacą dzisiaj nieomal dwa razy tyle, co przed laty kilkunastu. Minister skarbu wniósł już przedłożenie, na podstawie którego na podwyższenie pensyi urzędników i służby państwowej wstawiono do budżetu 30 milionów koron. Ponieważ drożyzna również dotkliwą jest dla włościan, którzy w wiele potrzebnych rzeczy zaopatrują się w miastach, a tegoroczna klęska posuchy i pryszczyca bardzo niekorzystnie odbiły się na stanie bydła, produkcyi mleka oraz nieurodzaju ziemniaków i jarzyn, słusznym jest wniosek, postawiony w Kole polskiem, imieniem stronnictwa ludowego, przez posła Lasockiego, poparty przez posła Witosa, aby wspólnie traktować ustawę o podwyższeniu płac urzędniczych z akcyą ratunkową dla rolnictwa i ludności rolniczej.

O wychodźtwo do Argentyny. Tocząca się obecnie wojna Włochów z Turkami o Trypolis wywrzeć może ważny wpływ na kierunek ruchu wychodźczego z Galicyi, przyczyniając się do udostępnienia nowego rynku zbytu na pracę naszych emigrantów sezonowych. Rynkiem tym byłaby Argentyna, dokąd dotychczas skierowywał się główny prąd wychodźtwa sezonowego włoskiego. Po zajęciu Trypolisu przez Włochy niewątpliwie podążą tam tysiące włoskich robotników, brak zaś wychodźców w Argentynie zastąpić powinien polski robotnik. Polskie Tow. emigracyjne rozpoczęło już kroki, celem przekonania się, na jakich warunkach dałoby się zorganizować korzystną dla naszego wychodźcy emigracyę sezonową do Argentyny.

Prześladowania religijne w Rosyi. Rosyjskie ministerstwo spraw wewnętrznych zakazało biskupom rzymsko-katolickim bez pozwolenia opuszczać swe dyecezye i mianować nauczycieli religii rzymsko-katolickiej bez zezwolenia ministeryalnego. Tak więc biskupi katoliccy są więźniami w granicach swych dyecezyi; na każdy wyjazd musi im zezwalać gubernator. Trudno pomyśleć o bardziej złośliwem a bezmyślnem prześladowaniu religijnem w państwie, gdzie niby panuje swoboda religijna.

Powstanie w Portugalii. Rzeczpospolita portugalska, uznana już w ostatnich czasach przez wszystkie prawie mocarstwa, nie stoi na zbyt silnych nogach. Strącenie króla Manuela z tronu i wygnanie go, następnie srogie prześladowania katolików, nie zostały dobrze przyjęte przez ogół ludności, owszem w szerokich kołach katolickiej ludności wywołały oburzenie. Wyrazem tego oburzenia jest powstanie przeciw obecnemu rządowi rzeczypospolitej, którego celem jest przywrócenie monarchii. Dziesięć tysięcy wojska sprzyjającego królowi, zajęło już dwa miasta i ogłosiło monarchię. Wątpić wszakże należy o przywróceniu dawnych rządów, gdyż rząd rzeczypospolitej, jak dotąd, rozporządza dostatecznemi siłami, by powstanie stłumić.

Rokowania o Marokko. Przez całe miesiące toczyły się między Francyą a Niemcami rokowania o wpływy gospodarcze i korzyści handlowe w północno-afrykańskim kraju Marokko. Usadowiła się tam Francya, Niemcy zaś poczęły robić jej trudności, chcąc za to wytargować inne korzyści dla siebie. Były tygodnie, że rokowania szły bardzo opornie i gazety nawet pisały o możliwości wojny. Obecnie Francya z Niemcami się pogodziła. Na zakończenie rokowań wpłynęła wojna włosko-turecka w Trypolisie.

KRONIKA.

Od redakcyi. Potwierdzeń prenumeraty na rok 1912 **na razie** nie ogłaszamy, aby nie zajmować miejsca w numerze. Za kilka dni każdy, który nadesłał prenumeratę otrzyma potwierdzenie **osobną kartą korespondencyjną.**

Polscy robotnicy dla tkalni w Andrychowie. Dla robotników tkackich a w szczególności dla fachowo wykształconych majstrów tkackich narodowości polskiej, istnieją korzystne warunki zarobku w wielkiej tkalni mechanicznej Braci Czeczowiczka w Andrychowie. Według zastrzeżenia, jakie zrobił Wydział krajowy, udzielając znaczną pożyczkę na tę fabrykę z funduszów krajowych, obowiązaną jest ta fabryka zatrudniać przeważnie siły polskie. Gdyby się nie zgłaszała dostateczna ilość polskich robotników, zarząd fabryki będzie się mógł tłómaczyć koniecznością zatrudniania robotników obcokrajowych. Na okoliczność tę zwracamy uwagę, zachęcając majstrów tkackich Polaków do zgłaszania się o zajęcie we fabryce andrychowskiej.

(J. K.) **Pożary i wypadki**. W Szczyrku, pow. Biała, spaliła się chałupa i szopa, obie ubezpieczone, Jędrzejowi Więzikowi. Przyczyna pożaru nieznana. Dalej spaliło się zabudowanie całe Janowi Leszczakowi. Ponaprawiał on sobie chatę i jeszcze całkiem nie była gotowa, wtem z niewiadomej przyczyny wybuchł ogień pewnego dnia wieczorem i zniszczył całe zabudowanie. — Gdy gospodarz Jędrzej Kuczek poszedł do lasu drzewo rąbać ze swym synem, zwalone drzewo odcięło nieszczęśliwemu prawą rękę, że się tylko na skórze trzymała. — Córka Anny Klaczek wbiła sobie w chlewie widły żelazne w nogę. Zapóźno wezwany lekarz nie mógł już nic poradzić na daleko posunięte zakażenie krwi, wskutek którego nieszczęśliwa umarła.

Zakochani w studni. Nauczyciel ludowy, syn kierownika szkoły w Szczerowcach górnych na Bukowinie, zakochał się na zabój w pewnej dziewczynie wiejskiej i chciał się koniecznie z nią żenić. Ponieważ rodzice jednej i drugiej strony związkowi temu stanowczo się sprzeciwiali, przeto zakochani postanowili wspólnie odebrać sobie życie.



Jakoż pewnego dnia wieczorem rzucili się do 10 metrów głębokiej studni, znajdującej się w podwórzu szkolnem w Szczerowcach. Nie utonęli jednak, gdyż ich na czas wyratowano. Oboje doznali poważnych obrażeń ciała; ona ma rękę złamaną, on rozbitą głowę. — Obrazek nasz przedstawia, jak niedoszłych oblubieńców, ogromnie zmoczonych, wydobywają ze studni.

Pijany żołnierz rosyjski na granicy galicyjskiej wywołał w zeszłym tygodniu w Husiatynie niebezpieczną awanturę. Przeszedł on granicę ledwie trzymając się na nogach i zaczął najpierw pijackie szaleństwa w Husiatynie obok młyna. Widząc podchodzącego doń młynarczyka zmierzył się do strzału i zaczął krzyczeć, że stanowczo broni użyje, jeśli ktokolwiek do niego się zbliży. Następnie poszedł na pastwisko i tu strzelał do chłopców, pasących krowy. Na krzyk przerażonych chłopców zbiegło się kilkunastu ludzi, których pijany żołnierz począł również atakować i grozić, że ich wszystkich powystrzela, gdy zaś coraz więcej ludzi zaczęło się zbiegać, uciekł za granicę. Po pewnym czasie powrócił znowu w towarzystwie drugiego również pijanego sołdata i obaj poczęli szukać zgubionych nabojów. Podczas gdy zajęci byli poszukiwaniem, udało się żandarmom austryackim otoczyć ich i rozbroić. — Wkońcu znaleźli się w więzieniu. Dzięki tylko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, zajście z pijanymi Moskalami skończyło się bezkrwawo.

Napad rogacza na wieśniaczkę. W pewnej miejscowości czeskiej napadł na wieśniaczkę okopującą buraki w polu potężny rogacz z leżących w pobliżu lasów i uderzył w nią kilkakrotnie rogami. Kobieta zaskoczona tak niezwykłym napadem, broniła się wprawdzie motyką, lecz bezskutecznie, gdyż zuchwały rogacz ponawiał ustawicznie uderzenia. — I kto wie, czy biedna kobieta nie przypłaciłaby życiem tej dziwnej przygody.



W pomoc przyszedł jej jednak szczęśliwy przypadek. Przechodziła bowiem w tej chwili pewna pani, bawiąca na wsi na świeżem powietrzu, z mocnym i zażartym psem z gatunku buldogów, pies rzucił się na rogacza i ostrymi kłami zmusił śmiałego napastnika do ucieczki. Ciężko pokaleczoną rogami kobietę musiano odwieźć do szpitala.

Przez trumnę na wolność. W niezwykły sposób umknął niedawno na Śląsku pewien aresztant. Dwóch strażników, eskortujących go do sądu gminnego, wstąpiło na kieliszek do karczmy, zostawiając aresztanta na drodze. Aresztant, korzystając z tego, schował się do pustej trumny, stojącej koło karczmy. Za chwilę strażnicy wyszli z karczmy, a gdy aresztanta nie ujrzeli, myśląc że uciekł, rzucili się za nim w pogoń. Pomysłowy aresztant tymczasem wylazł z trumny i przepadł bez wieści.

Dwa kilometry pod ziemią. Ze wszystkich dotychczasowych wierceń podziemnych na całym świecie dotarto najgłębiej pod Paruszewicami w powiecie rybnickim na Śląsku, na 2003·3 metry, pod Szubinem, w Poznańskiem, na 2149·4 metry i pod Czuchowem, także w powiecie rybnickim na Śląsku na 2239·7 metrów. W kopalniach tych pracują więc ludzie w głębokości przeszło dwóch kilometrów pod ziemią.

Niezwykły grzyb. Do jednego z kupców w Morawskiej Ostrawie przywiózł robotnik z Jabłonkowa znaleziony w tamtejszych lasach grzyb wysokości 25 cm., ważący 1500 gr. Jestto ciekawy okaz grzyba w obecnych czasach posuchy.

Jarmark na dziewczęta. Niewielka mieścina Gajna, w Siedmiogrodzie, daleko w kraju tym słynie ze swych »jarmarków na dziewczęta«, które się odbywają co 16 lipca. Na dzień ten dawniej dążyły do Gajny tłumy młodzieży obojga płci z najdalszych okolic Siedmiogrodu, a więc dziewczęta pragnące wyjść za mąż i dojrzali chłopcy, marzący o ożenku. Na jarmarku w Gajnie następowało poznanie i wybór miłego czy miłej. Gdy chłopiec i dziewczyna spodobali się sobie nawzajem, wówczas za pośrednictwem rodziców obojga »dobijano targu« i następowały uroczyste zaręczyny, a po pewnym przepisanym czasie odbywał się ślub zaręczonych.



»Jarmarki na dziewczęta« w Gajnie były więc ogromnym zjazdem dojrzałej do małżeństwa młodzieży siedmiogrodzkiej i miały tę dobrą stronę, że parobczak lub dziewczyna danej wioski czy okolicy nie byli zmuszeni obierać sobie towarzysza życia koniecznie w sąsiedztwie czy najbliższej okolicy. Dzisiaj »jarmarki na dziewczęta« w Gajnie utraciły już dawne swe znaczenie i świetność. Młode pary w Siedmiogrodzie łączą się bez ich pośrednictwa. Cztery nasze obrazki przedstawiają, jak te jarmarki dawniej wyglądały. Na 1 obrazku widzimy sprzedaż niezbędnych latem dla wieśniaka ostrych stalowych kos. Na 2 obrazku widzimy dziewczęta grające na trombitach. Obrazek 3 przedstawia młodą dziewczynę siedmiogrodzką, sprzedającą swego konia. Obrazek 4 ukazuje nam zabawę i ochocze tańce młodzieży siedmiogrodzkiej.

Świętokradztwo. W Lublinie, w Królestwie Polskiem, dokonano w ubiegłym tygodniu w kościele św. Ducha zuchwałego świętokradztwa. Skradziono koronę srebrną pozłacaną z głowy Matki Boskiej w głównym ołtarzu. Świętokradca prawdopodobnie dał się zamknąć wieczorem po nabożeństwie różańcowem, rano zaś odsunął zasuwę i wyszedł na miasto. Zbrodnia wywarła w mieście wielkie wrażenie. Sprawcy dotąd nie schwytano.

Oszukany prawosławny święty. Pewien kozak jechał tego lata konno samotnie przez stepy. Nagle zerwała się burza, z nieba zaczęły sypać się błyskawice, a grzmot za grzmotem rozdzierał powietrze. Kozakowi robiło się nie bardzo przyjemnie i lęk zaczynał go ogarniać. Westchnął więc do swego patrona Mikołaja i ślubował, że jeśli piorun go nie zabije, to złoży przed jego ołtarzem tyle świec, ile dostać będzie mógł za wszystkie pieniądze, otrzymane za konia, na którym jechał. Mikołaj wysłuchał modłów strwożonego kozaka i odwrócił pioruny od jego głowy. Na drugi dzień kozak, pomnąc na swój ślub, udał się na targ, mając pod pachą koguta, a drugą ręką prowadząc za uzdę konia.

— Hej kozak — pytają go — co to masz na sprzedaż?

— Koguta i konia — odpowiada — ale jednego bez drugiego nie sprzedam.

— A ile chcesz za to? — pytają go kupcy.

— Za koguta 200 rubli, a za konia dwa złote.

Koń był dobry, jak to zwykle konie kozackie, więc znalazł się rychło kupiec, dziwiąc się w duchu takiej propozycyi. Kozak zaś kupił niezwłocznie za dwa złote świec, zaniósł je do cerkwi i zadowolony ze spełnionego ślubu, zapalił je przed obrazem swego patrona Mikołaja.

Klęska głodowa. Z głębi Syberyi nadchodzą straszne wieści o grożącej klęsce głodowej. Dotychczas zmarło podobno śmiercią głodową 250 osób. — Na ulicach miasteczek i na drogach wiejskich rozgrywają się rozpaczliwe sceny. Setki wynędzniałych leżą bezwładnie przed domami i na drogach, oczekując śmierci. Rząd rosyjski dopiero teraz zdecydował się na wysłanie żywności do oddalonych gubernij. W wielu miejscowościach wybuchł tyfus głodowy, zabierając setki ofiar.

Nieudane wskrzeszenie. Wstrząsający wypadek zdarzył się w pewnej miejscowości w pobliżu Berlina podczas pogrzebu 7-letniej córki pewnego fabrykanta maszyn. Ewangielicki pastor, który eksportował zwłoki dziewczyny na wieczny spoczynek, zabrał nagle głos nad grobem i oświadczył, ku najwyższemu zdumieniu uczestników żałobnego obrzędu, iż śniło mu się ubiegłej nocy, że nieboszczka zmarła tylko pozornie, czyli że jest w letargu. Wobec tego pastor zażądał otwarcia trumny. Gdy go nie posłuchano, powtarzał rozkaz, aż wreszcie grabarze to uczynili. W trumnie leżało dziecko spokojnie. Zapanowała cisza, jakby makiem zasiał. Przejęty ważnością chwili pastor zbliżył się do trumny i rzekł głośno a dobitnie: Dziewczę, wstań i idź dalej!... Rzecz oczywista, iż zmarła nie poruszyła się, wobec czego zarządzono jej pogrzebanie. O zajściu, które wywołało wielkie wrażenie w okolicy, zawiadomiono władze kościelne, które pastora zawiesiły natychmiast w urzędowaniu na czas przeprowadzenia śledztwa. Prawdopodobnie pastor dostał podczas pogrzebu pomięszania umysłu.

Narowisty koń i złośliwy Niemiec. Syn pewnego młynarza, Niemca, w Skalmierzycach w Poznańskiem, wiózł zboże do młyna. Koń, który widocznie także miał swoje kaprysy, nie chciał ciągnąć naładowanego wozu i żadną miarą nie dał się nakłonić do ruszenia z miejsca.



Wówczas Niemiec wpadł na złośliwy pomysł i rozpalił pod koniem ogień. Skutek był taki, że cały wóz wraz ze zbożem spłonął, zaś koń zbiegł do domu.

Oburzające oszustwo. Gazety niemieckie donoszą, że w pewnej ogromnej rzeźni w Nowym Jorku odkryto oburzające nadużycia. Stwierdzono mianowicie, że rzeźnia ta wysyłała padlinę końską do Holandyi, gdzie ją przerabiano na wyroby masarskie.

Niezwykły wynalazek. Gazety niemieckie donoszą o ciekawym wynalazku, którego twórcą jest pewien Niemiec. Wynalazek ten, zastosowany do ubrania lub bielizny, czyni z nich środek ochronny przeciwko utonięciu i wprost wyklucza niebezpieczeństwo utonięcia. Twórca w ten sposób zwrócił na siebie i swój wynalazek uwagę rządu, że niedawno rzucił się w pełnem ubraniu przed płynący statek cesarza Wilhelma i utrzymując się z największą łatwością na wodzie, wywołał tem zdumienie na cesarskim okręcie.



Wkrótce potem, jak donoszą z Berlina, wykonano tam gruntowne próby z nowym wynalazkiem i osiągnięto wprost niespodziewane wyniki. Żołnierze piechoty w pełnym mundurze i zbroi rzucali się do rzeki Sprewy i nie tonęli, lecz trzymali się na powierzchni i mogli wykonywać z całą swobodą wszelkie ruchy i ćwiczenia. Kilka pań i panów urządziło sobie partyę karcianą na samym środku rzeki, gdzie są największe głębie, bez wszelkiego niebezpieczeństwa utonięcia. Obrazek nasz przedstawia te wielce interesujące próby.

Dziecko kryminału. Ludzie niektórzy rodzą się już do swego zawodu. Dzieci aktorów bywają często również aktorami, dzieci różnych sztukmistrzów wprawiane od najmłodszych lat do gimnastyki i innych popisów, również zazwyczaj wstępują w ślady rodziców. Dzieci złodziei — jeśli złodziejstwo też można nazwać »zawodem« — bywają także zwykle złodziejami. Niedawno temu sąd berliński rozpatrywał sprawę 75-letniego przestępcy, niejakiego Wilhelma Siebenchara, którego nazwaćby można »dzieckiem kryminału«. W kryminale bowiem przyszedł na świat już z zadatkami przestępstwa, wyssanymi z piersi matki. W ogólnej sumie spełnił on w ciągu swego życia około 2000 kradzieży, przez 30 lat przebywał w więzieniach. Ostatniemi czasy ograniczył swą działalność złodziejską do dokonywania kradzieży jedynie w pokojach umeblowanych. Wobec sądu przyznał się z całą otwartością do licznych przestępstw, opowiadając obszernie o szczegółach, które im towarzyszyły. Skazano go na trzyletnie zamknięcie w więzieniu. Przyjął wyrok spokojnie i wyraził nawet sędziom z ukłonem głęboką podziękę za »względność dla nieszczęśliwego starca, który już jako dziecko kryminału z łona matki na świat przyszedł złodziejem«.

Pożyteczna fundacya. W Alzacyi, prowincyi francuskiej należącej do Niemiec, ustanowiło dwóch fabrykantów nagrody dla gmin wiejskich, które udowodnią, że na ich miejscach publicznych, na ulicach, drogach i wokoło domostw panuje czystość i porządek. Nagrody wynoszą po 1000 i 600 marek w złocie; prócz tego nagrodzone gminy otrzymają dyplomy honorowe. U nas zdałaby się taka fundacya, bo w wielu wsiach panują straszne nieporządki.

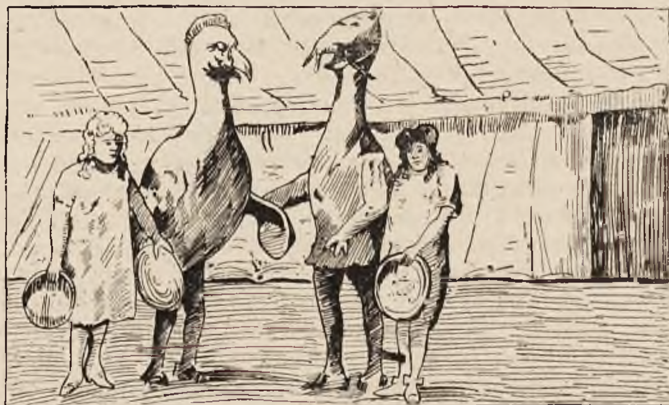
Pojedynek zakochanych dziewcząt. W Czarnogórze, na półwyspie bałkańskim, w osadzie Danilogradzie, dwie córki oficerskie, Wiera Brigdanovic i Sofia Maradic, zakochały się w 26-letnim adjutancie królewskim Mirce Hezaki. Postanowiły więc sprawę sercową rozstrzygnąć pojedynkiem. W tym celu zabrawszy rewolwery ojców swoich, udały się za miasto, stanęły o 10 kroków jedna od drugiej i dały równocześnie strzały, skutkiem których Wiera Brigdanowic została zabita na miejscu.

Wczesna zima. Z różnych stron Francyi nadchodzą wiadomości o nagłej zmianie pogody. Po upalnem lecie nastała zima. W wielu miejscowościach spadły śniegi. Na południu Francyi wielka liczba krów, znajdujących się na pastwiskach, zaskoczona niespodziewanym śniegiem i mrozem, rozchorowała się, gdyż śnieg pokrył ziemię powłoką na 10 ctm. grubą. W całej południowej Francyi ciepłota powietrza znacznie się obniżyła. I u nas powietrze bardzo się ochłodziło, rano bywają przymrozki i w mieszkaniach już zaczynają palić.

Dobry humor przed straceniem. W Tulonie, we Francyi, rozstrzelano na mocy wyroku sądu wojskowego dwóch marynarzy za zamordowanie w celu rabunku kolegi swego. Obaj mordercy okazali do ostatniej chwili niezwykłą zatwardziałość i brak skruchy. Idąc na miejsce stracenia palili papierosy, podczas zaś ostatnich przygotowań rozmawiali wesoło. »Nie spieszą się jakoś« — zauważył jeden. »Bo nie są płatni od sztuki« — odparł drugi. Gdy postawiono ich przed plutonem egzekucyjnym, pierwszy odezwał się do towarzysza: »Ciekaw jestem, czy w niebie dostanę tytoniu?« »Chyba dostaniemy tam coś lepszego — odparł zapytany, a po chwili leżeli już obaj bez życia.

Myśliwi napadnięci przez orła. W pobliżu Marsylii, jak opowiadają dzienniki paryskie, potężny orzeł napadł na dwóch myśliwych, którzy zaskoczeni znienacka, nie mogli użyć w pierwszej chwili strzelb w obawie postrzelenia się nawzajem. Wreszcie udało się jednemu z nich po uporczywej obronie zabić celnym strzałem napastnika. Zabity ptak ma od końca do końca skrzydeł półtora metra.

Zabawa ludowa ze strusiami. W Indyach, w Azyi, żyje ptak olbrzymi, struś, który tem się odznacza, że fruwać nie może, zato biega wybornie, jak najszybszy koń. Pióra strusie są bardzo piękne i delikatne i używane są do kapeluszy pań. Struś jest ptakiem łagodnym, w Indyach chowają go mieszkańcy dość często.



Dzieci mają też z nim często miłą rozrywkę. W zabawach ludowych w Indyach strusie biorą również udział, mianowicie w ten sposób, że cudacznie przybrane w suknie i kaptury, dzieci je oprowadzają, grając przytem i śpiewając. Obrazek nasz przedstawia te olbrzymie ptaki, ubrane na zabawę ludową.

Skąd się bierze „babie lato“? Długo uczeni nie mogli odkryć, skąd biorą się cieniuchne nici pajęcze, snujące się w powietrzu w pogodne dni jesienne, a zwane nićmi babiego lata. W ostatnich czasach dopiero ustalono, że istnieje gatunek pająków, małych, niepokaźnych, spędzających lato w miejscowościach bagnistych, moczarowych. Gdy nadchodzi jesień, pająki owe wypuszczają z siebie długie nitki, ot tak, w powietrze. Na te nitki siadają same i lecą do miejscowości suchych. Tam bowiem wygodniej im spędzać zimę; tam mrozy ich nie wytępią.

Podziękowanie „Wiśle“. Dnia 3 września b. r. popołudniu wybuchł pożar w naszej gminie, który zniszczył doszczętnie około sto gospodarstw. Zaraz na trzeci dzień po pożarze wysłała »Wisła« swoich likwidatorów, którzy oszacowali szkodę i zaraz na miejscu wypłacili znaczną część wynagrodzenia, przyznając całe odszkodowanie bez jakiegokolwiek potrącenia za niedopałki. Jakże inaczej postąpiło drugie Towarzystwo asekuracyjne, które prócz potrącenia za niedopałki zatrzymało jeszcze bezprawnie pogorzelcom po kilka i kilkanaście koron, jako zadatki na nowe ubezpieczenia.

Za natychmiastowe oszacowanie szkody, za r.-chłą i sumienną wypłatę, oraz za ludzkie obchodzenie się z pogorzelcami, składają podpisani Towarzystwu asekuracyjnemu »Wisła« staropolskie »Bóg zapłać«, polecając braciom włościanom, aby ubezpieczali się tylko we »Wiśle«, bo leży to w ich własnym interesie.

Szczurowa, powiat Brzesko.

Stanisław Giza, Michał Sternowski, Tomasz Daniel, Jan Daniel, Franciszek Beczała, Wawrzyniec Wypyszek, Jan Górski, Józef Małocha. (143)

Potwierdzenia prenumeraty za rok bieżący:

Szczepan Malinowski z S. (1 K.), Kurowski Wincenty z K. (1 K.), Dudek Jan z O. (50 h.), Haynos Wilhelm z B. (1 K.), Sebastyan Kmiecik z M. (2 K.), Piotr Szczepaniak z G. (1 K.), Jan Guzik z B. (1 K.), Lucyan Żurek z D. (1 K.), Franc. Kłosko z D. (2 K.), Antoni Duda z S. (1 K.), Andrzej Galarowski z Z. (1·75 K.), Strzok Karol z O. (2 K.), Miśniak Walenty z P. (50 h.), Ant. Gach z B. (1 K.), Grabek Wład. z A. (1 K.), Franc, Marek z T. (2 K.), Kusek Jan z O. (1 K.), Wawrzyczek Franc z R. (4 K.). Pohl Floryan z K. (4·50 K.), Gabryel Konesz z G. (2 K.), Jerzy Olszowski z B. (2 K.), Feliks Stańczykiewicz z Ł. (2 K.), St. Wojtanowski z B. (2 K.), Czaja J. z L. (2 K.), Moskwa Jan z B. (2 K.), Jan Szczygieł z L. (2 K.), Wł. Broszyna z S. (4 K.), Jan Ruto z S. (2 K.) Emil Żdziebło (2 K.).

Zagadki do nagrody.

1. ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożył Firla Franciszek).

					Stolica Japonii.
					Wielka woda.
					Miasto w Galicyi.
					Państwo europ.
					Ptak.
					Wyspa.
					Imię męzkie.
					Miasto w Galicyi.
					Imię męzkie.
					Gatunek węży.

Powyższe kwadraciki zapełnić literami, aby środkowe litery dały nazwisko polskiego powieściopisarza.

2. SZARADA.

(Nadesłał Paweł Tarasek).

Pierwsze ideał Babilończyków,
Drugie to wielka klęska rolników.
Całości, bracie, poszukaj wszędzie,
A kiedy znajdziesz, to miasto będzie.

3. ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożył Józef Ralski).

* . . . Imię biblijne.
* . . . Drzewo.
* . . . Pasterz w górach.
* . . . Część świata.
* . . . Część ciała.
* . . . Część domu.
* . . . Góry europejskie.

Miejsca kropek i gwiazdek zastąpić literami w ten sposób, by litery początkowe wyrazów, czytane z góry na dół, dały nazwę prowincyi tureckiej.

4. SZARADA.

(Ułożył Józef Maśka z Z.).

Pierwsze drugie najpierw mówi dziecię,
Drugie trzecie człek wzrostu niskiego,
Czwarte trzecie oczy wielkie, wymówić wstydzę się,
Powszechna to potrawa u ludu ruskiego.

5. KWADRAT magiczny.

(Ułożył Wł. Burghardt).

a	a	e	e	Znajduje się w powietrzu.
e	ł	ł	o	Pora roku.
o	r	r	t	Gaz.
t	t	n	n	Schronisko myszy.

6. ZAGADKA.

(Ułożył Mateusz Barszcz).

Wprost dużo w kuchni mamy,
Wstecz w mieście się z tem spotykamy.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 21 październ. 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica Św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z nru 40 *Roli*: 1. Szarada: **Stodoły**, 2. Szarada: **Karolina**, 3. Szarada: **Kraszewski**, 4. Szarada: **Lewkonja**, 6. Szarada: **Tatarka.**

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiazania:

I.

Pochwalony... Rymów druchy,
Dziś wstępuje w wase koło.
Choć-zem troche ślepy, głuchy,
Jednak śpiewam dość wesoło.
Przytem nie jestem ganc goły —
Choć ta nimom wprowdzie chaty,
Ale zato mom stodoły,
Mom ogródek, som i kwiaty.
Rocnie sieje mórg tatarki,
Ślabizuje Kraszewskiego,
Mom se jesce i do... parki!
Zyć i patrzeć, jak dni biegą...
Ale zmienno scęścia kolej...
Jak spytocie: Kajs to mos?
No! (Mój Boze!)... dyć to w »Roli«!
Cy nie widzis! skrzywze nos!

N. Akłaibok z Ch.

2.

W numerze czterdziestym tygodnika »Roli«
Szaradę pan Marzec niewyraźnie pisze,
Z jej rozwiązania aż mnie głowa boli,
Chociaż jej znaczenie prawie codzień słyszę.
Stodoły bezpieczne schowanie na plony,
Doły niebezpieczne zwłaszcza w ciemnej nocy,
Karolina imię to polskiej dziewczyny,
Lina każdemu znana ze swej mocy.
Kraszewskiego dzieła nieraz już czytałem,
Ogród przy swej chacie lubię pielęgnować,
Ażeby w jesieni owocem dojrzałem,
Siebie uraczyć, bliźnich poczęstować.
Lew jest królem zwierząt, słyszeliście nieraz,
A koń nam oddaje stokrotne usługi,
Ja, będzie trzeci tej szarady wyraz,
Ja, jestem panem całej zwierząt smugi.
Tatar człek groźny, jak z historyi wiecie,
Tarka to cierpka niedobra jagoda,
Tatarka roślina, której ziarnka znacie,
— Teraz dajcie książkę będzie z nami zgoda!

Franciszek Zdeb.

3.

Mam się pytać o to kogo?...
Na wsi stodół zawsze mnogo,
Po raz trzeci to ćwiczenie,
W »Roli« ma swe umieszczenie.
Karolina dziewczę będzie,
Znajdzie się ją również wszędzie..
I Kraszewski przed tygodniem
Był już w »Roli« — wiemy o tem.
Ogród zdobi wiejskie chaty,
Rad mu biedny i bogaty,
Szkoda tylko, że zamało
Troszczą się oń jak przystało.
Tatarka jest to roślina
Pochodzi od Tatarzyna.

Józef Kulka.

Oprócz tego w oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali P. P.:

Jan Bylica z P., Andrzej Krajewski z D., Jan Bobrowski z O., Antoni Kościelny z Szcz., Franciszek Firla z G. S., Antoni Zwiercian z K., Anna Żebrok z B., Jan Moś z Cz., Jan Szybowicz z Ż., Arkadyusz Szarek z S W., J. Höller z B. S., S. Stolarzewicz z D., Wł. Koza z P., Wojciech Słysz z G., Józef Gąsior z S., Adela Bezokówna z K. M., Karol Maj z B., Franciszek Młot z T., Jan Burghardt z S., Ks. M. N. z Z. G., Józef A. Byłow z M., Józef Maziarz z Z., J. Brzeziański z K., J. Hirszberg z K., J. Lebuda z B., A. Kała z Ch., A. Warchoł z Z., M. Barszcz z B., J. Płatkowski z M., F. Migdał z S., H. Reuss z K., K. Żyła z F., Teper Fr. z M. K., St. Kumięga z T., J. Krawczykowa z T., M. Dudek z Ż., F. Klocek z N., P. Juroszek I., S. Dziadyk z M., W. Korzeniowski z B., Jakób Stręk z O., J. Pożdał z J., H. Łukawski z J., J. Inglot z S., W. Nowacki z Z.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Bajki Andersena*** wylosował p. **Jan Bobrowski** z O., zaś drugą p. t. ***W krainie tygrysów*** p. **Jan Bylica** z P.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

P. P. Arskadyusz Szarek w S W.: Za ładne i miłe wierszyki serdecznie dziękujemy — będziemy się starali wnet je wydrukować. — Władysław Biedroń w P.: Podobna legenda będzie w Kalendarzu na 1912 r., więc z nadesłanej nie możemy już skorzystać. — Jan Świerk w L.: Nietylko ten, kto niema innej gazetki, ale i ci, którzy inne prenumerują, powinni sobie »Rolę« zapisać, gdyż ona, jako pismo niepolityczne, powinna być w każdym domu. Wszyscy nasi czytelnicy powinni uważać sobie to za ścisły obowiązek, aby każdy z nich zjednał nam przynajmniej jednego prenumeratora, gdyż im więcej będzie prenumeratorów, tym lepszą będzie »Rola«. Rozpowszechniając »Rolę«, każdy dla siebie zarazem pracuje. — Wład. Burghardt w S.: Rzecz zanadto błaha, aby ją drukować w kronice, gdyż takie wypadki zdarzają się prawie codziennie. — J. Höller w B. S.: Ażeby brać udział w losowaniu »Podarku szczęścia«, trzeba prenumeratę całoroczną nadesłać do końca b. r., a więc gdy Pan nadeśle ją 1 listopada temsamem prawo to miał Pan będzie. — Zygmunt z nad Warty: Gdyby wiersz był nadszedł przed wydrukowaniem opisu uroczystości w Gręboszowie, bylibyśmy go w 41 numerze wydrukowali — teraz już zapóźno, a szkoda, bo niezły — Karol Maska w R.: Najlepiej zwrócić sie do »Syndykatu rolniczego« w Krakowie, plac Szczepański. Tam mają cenniki i opisy, które chętnie wysyłają a wybrać z nich każdy może, czego potrzebuje. J. Płatkowski w M.: Rebus dobry, ale trzebaby robić z niego klisze, a to zakosztowne. — Henryk Reuss w K.: Oczywiście najlepiej zaprenumerować wprost. — Mateusz Barszcz w B.: Maciuś i my z nim za pozdrowienia serdecznie dziękujemy. — Stanisław Kumięga w T.: Szarady dobre. — Jan Gniłka w K.: Maciek Bzdura z całą przyjemnością prośbę uwzględni. — Adam Jesionek w Ch.: Jak Pan widzi — w numerze. — Firla Franciszek w G. S.: Zagadki dobre — umieścimy. — Jakób Stręk w O.: Dziękujemy serdecznie — wyslaliśmy podług wskazanych adresów. — Rudolf Maak: Szarada dobra. — N. Akłaibok w Ch.: Za tak obfitą przesyłkę dziękujemy — wszystko powoli pójdzie. Możeby Pan próbował poezyi, bo łatwość wierszowania znać u Pana. — Józef Strasser w Cz.: Ależ to rozwiązanie grubo spóźnione! Zagadki te były przed kilku miesiącami. Józef Kobylański w C.: Wierszyk miły ale zbyt osobisty, więc trudno, aby był drukowany w »Roli«. — Franciszek Smołucha w R.: Zagadki umieścimy. Czy nadesłany wierszyk własnego układu? — Jan Bylica w P.: W miarę miejsca umieścimy. Jan Poździał w J. S.: Za miłe słowa serdecznie dziękujemy. Da Bóg, »Rola z każdym miesiącem będzie lepsza. — Józef Jarmuła w Z.: Z prawdziwą przyjemnością powitaliśmy odezwanie się Pana. Wierszyk umieścimy w czasie, na który jest przeznaczony. — Wawrzyniec Pietrucha w Rz: O przyjaźni Pańskiej do nas nie wątpimy, a zwłoka nic nie szkodzi. Wierszyk, jak wszystkie inne, dobry. — Walenty Pasierb w Cz.: Otrzymaliśmy — dziękujemy. — Józef Kubit w G.: Czy nadesłany wierszyk jest własnego układu, czy tylko przepisany? Cieszy nas, że »Rola« tak bardzo się podoba. »Ogniem i mieczem« drukować nie możemy, gdyż powieść ta jest prawie każdemu znaną, bo ją prawie wszystkie czytelnie posiadają. Za życzliwość serdecznie dziękujemy. — Karol Powroźniak w S.: Nadesłaną humoreskę o złodzieju poczciwym damy z obrazkiem. Inne rzeczy też pójdą powoli. Dziękujemy. — Franciszek Zdeb w Cz.: Owszem, legendy wierszem, o ile dobre, prosimy przysłać.

Każdą reklamacyę wraz z reklamowanym numerem posyłamy do dyrekcyi poczt we Lwowie.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 10 paźdz.

Pszenica	Kor.	12·05	do	12·45	za 50 kg.
Żyto	„	9·75	„	10·35	„
Jęczmień	„	9·—	„	9·50	„
Owies	„	8·60	„	9·05	„
Otręby pszenne	„	7·—	„	7·10	„
Otręby żytnie	„	6·90	„	7·—	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 10 października:

Buhaje	Kor.	160	do	300	za sztukę
Woły	„	—	„	—	„
Krowy	„	140	„	300	„
Jałówki	„	120	„	220	„
Cielęta	„	25	„	84	„
Owce i kozy	„	20	„	30	„
Świnie (bita waga)	„	140	„	150	za 50 kg

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego